

GOŁOBI

TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia ^{20 Stycznia}_{1 Lutego} 1877 r.

N^o 5.



Kłusza Kostki i Mulerta.

Fotodruk J. Dutkiewicza.

Romana Popiel.

ROMANA POPIEL.

Niemalój potrzeba siły niewieścich powabów, aby opłatać pajęczyną zachwyty i czarów owego gburą Amerykanina z „Nitki jedwabiu.“ „Flirtowanie“ kuzynek okazało się w tej sprawie bezskutecznym; Yankes odpala je pocałunkiem i uściskiem, zarówno zuchwałym, jak i niegrzeczna mówka do kokietek, z której dowiadują się, że się starego wróbla nie łapie... na plewy.

Nie z jednego on też pieca chleb jadał i fałszywych liczmanów za złoto nie bierze. A przecież... opłatano go prostotą, naiwnością, szczerością, wdziękiem naturalnym... a sztuki téj dokazała panna Popiel.

Nic dziwnego!.. Czyni to ona kubek w kubek z publicznością, i nikt się o to nie gniewa. Ulegamy jej urokowi, zachwycamy się jej naturalnością, klaszczemy i wywołujemy ją, a przecież możemy mieć serca twardsze niż ów Amerykanin...

Tak—możemy je mieć, ale nie w obec sztuki i dzielnej artystki.

Od lat kilku przywykła ona grać na uczuciach naszych estetycznych, jak na lutni. Patrząc na nią, dajemy się powodować urokowi sztuki, a nadewszystko urokowi... prawdy.

Przypomnijcie sobie tę naiwną dziewczeczkę ze „Starych kawalerów“, która nad zepsutem sercem samolubnego rozpustnika odnosi tryumf jedynym słowkiem szczerzego zapytania. Czyż patrząc na nią, nie uwierzycie w niezachwianą potęgę owjej siły, która się nazywa niewinnością?...

Albo owo szlachetne dziewczę z „Safandulów“ które umie być szczerem wobec uczucia i nie potrafi uczcić światowych konwenansów dlatego tylko, iż czi nadewszystko prawdę i prostotę.

Prawią estetycy wiele o doskonałej równowadze treści i formy, która stanowić ma najwyższą zaletę sztuki. Tę równowagę do wysokiego stopnia potrafi osiągnąć panna Popiel. Umie mówić tak, iż każde jej słowo płynie z uczucia i z przekonania, i każdemu słowu towarzyszy odpowiednim gestem, naturalnym i swobodnym do złudzenia. Swoboda też dykcji i akcyi zarazem jest niezaprzeczeniem siłą owego niepospolitego wdzięku, który w grze dzielnej artystki osiąga zachwyt i poklask.

Mimo to przecież panna Popiel potrafi grę afektować, gdy tego potrzeba. Przypatrzcie się dowcipnej żonie „Męża pieszczonego.“ Tylko że w tej afektacji potrafi także zachować odpowiednią miarę i nie posuwa się do szarży. Tyle tylko ile potrzeba dla salonowej farsy. Kontury wyraziste, naszkicowane śmiało i pewnie, mają przecież jakąś miękkość i elegancję, które chronią grę dostatecznie od wkroczenia w dziedzinę przesady. Postać przybiera kształty dowcipnej, ale lekkiej tylko karykatury.

Wesołość, naiwność, prostota, szczerość, młodzieńczy zapał, trzpiotowatość... oto pierwiastki, z którymi artystka najchętniej się spotyka i najwyborniej je uwydatnia. Role jej tym sposobem zaliczają do zakresu naiwnych. Chcieliby jednak pierwiastki te rozwinąć w dalszym ich postępie, a będziecie mieć: otwartość, szlachetność, zacność... i oto będą żywioły, wśród których panna Popiel będzie zawsze u siebie, chociażby wyszła z ról naiwnych. Jak dzisiaj, tak i w przyszłości, pole sceniczne dla jej talentu obszerne.

Artystka nasza posiada jedną jeszcze właściwość talentu scenicznego: nie ma dla niej sytuacji, ani chwili na scenie, z którejby odpowiednio nie korzystała. Momenta wyrazistsze, podatniejsze do gry żywszej, nie odskakują u niej od całości, którą traktuje równo. Pochodzi to z dokładnego studyowania całej roli, z obliczenia najdrobniejszych szczegółów jej w stosunku do ogółu. Ztąd efekt prawdy zupełny.

Młoda w swoim zawodzie, panna Popiel zdobyła już sobie rutynę sceniczną, na którą długie lata pracować trzeba. Stało się to u niej siłą artystycznej intuicji. Ztąd znowu działanie na pewno, bez wahań i zboczeń.

St. M. Rz.

Do ***.

Więc że gwiazdy bledną ponad tobą,
Ty rozpacz skrywasz się żałobą,
Miał wytrwaniem czarną przemódz chmurę
I na lica wiary wdziać purpurę?

A cóż, gdyby słońce blask przyćmiło?
Czyżbyś upadł, aby nie wstać więcej
I zgorzenie rozsiać wśród tysięcy
I pamięci bluźnić swój mogiłą,
I być małoduszny tylko wzorem?

Kto ukochał słońce—ma je w sobie;
A jak ono kręci gwiazd regiony—
Tak on, mocen pchnąć świat nowym torem!
Ten nie zwątpi, choćby napót w grobie,
Choć nad głową jego grom czerwony,
Choć mu gwiazdy bledną na błękanie...

Kto ma słońce w sobie, ten ma życie—
I choćby się wszystkie słońca starły
Wstaje sam—i wskrzesza świat umarły.

Wacław Pomian.

NIEROZEGRANA PARTYA.

(Fragment powieściowy).

(Dokończenie).

II.

Czasem się ludzie za późno spotykają w życiu...

Gdy dwoje takich los na jednej drodze sprowadzi, muszą się minąć spojrzawszy sobie w oczy za ledwie i iść dalej każde w inną stronę i zapomnieć o tém, że się spotkali.

Czasem jako pamiątkę takiego spotkania dźwigać muszą przez całe życie ukrytą łzę w sercu, co nieraz w najłżejszych na pozór chwilach zacieży nagle i strąca pomiędzy uśmiechy westchnienie tak smutne, jak echo przez ruiny płynące.

Bywa to rzadko, bardzo rzadko może,—ale bywa...

Wówczas zdaje się takim, że jedna chwila wcześniej mogła im być dać całą wieczność szczęścia i żal czują do losu, że im tej chwili poskąpił, do świata, że patrzy na nich zimno, albo obojętnie nie rozumiejąc ich żalu,—do siebie, że byli za słabi w chwili spotkania.

Często chwila jest liczbą,—reszta życia zerem...

Ale czy wolno sercu z każdej chwili w życiu korzystać? czy wolno przyjmować uczucie wszędzie, gdzie się ono samo podaje?

A kiedy los na hazard rzuci dwa serca przed tobą, i tą hojnością cię oślepi i wybierać każe, co począć?—Czy przyjąć jedno, a odrzucić drugie, czy zerwać hazardowną partję, choćby z utratą własnej stawki?...

Takich pytań tysiące cisnęło się do rozpalonej głowy Leona, kiedy siedział przy swoim biurku i pisał.

Otwartem oknem płynęło świeże tchnienie wiosny, chociaż niebo pochmurnie spoglądało na budzącą się w powiatach zieleni ziemię, jakby miało ochotę wypłakać się na wszystkie owe pierwiosnki, i rozpękające do nowego życia drzewa i krzewiny.

Leon miał twarz jak owo niebo wiosenne.

Ręka gorączkowo suwała się po papierze, stawiając od godziny ściśnięte szeregi liter, w których piszący całą swą duszę wylać usiłował.

— „Drogi mój, kończył się list Leona—nie uwierzysz, jak mi w tej chwili potrzeba czyjejs dłoni, czyjegos łona, na którym mógłbym moją zbiedzoną głowę złożyć i przytulić się na czas jakiś tak cicho, jak owe splakane dzieci

do mamek się tulą, gdy łkając usypiają... Jak ja się zszarpałem w ostatnich czasach, jak mnie ta ciągła walka z sobą i z losem moim zmęczyła...

A mimo to nie doszedłem do żadnego rezultatu, mimo to dotąd nie odpowiedziałem sobie, jak postąpić ma człowiek, któremu igraszką losu dwa uczucia dostaną się jednocześnie? kiedy jednego z nich podzielać mu nie wolno, pomimo tłumionego krzyku serca, co rwie się odurzone—a drugiego podzielać nie może?...

Od trzech tygodni drogi mój, myśli nie mam wolnej. Co chwila dowiaduję się o nowym szczególe, który ten dziwny epizod mego życia gmatwa jeszcze bardziej i powiększa moją kolizję. Czuję, że jestem słabym, że tej biednej dziewczynie nie będę mógł powiedzieć otwarcie: ja nie kocham ciebie!—a tej drugiej ciągle kłamać muszę, że nic z jej słów nie rozumię, że one jak ołów bez dźwięku odpadają od mego serca zimne i nieczułe.

Ale też ciężkie, jak ołów... o jak okropnie ciężkie!

Nie sądziłem nigdy, że wypełnianie obowiązku może być tak trudnem, może tyle sił i zaparcia potrzebować.

Niekiedy wątpię zaczynam, czy ja ten gwałt potrzebnie sercu zadaję?...

Tu wzburzone uczucia nie pozwoliły mu pisać dłużej; odrzucił pióro, powstał i u okna zaczerpnął oddechu.

Spojrzenie jego po nad dachy niskich domków sąsiedztwa nieprzytomnie pomknęło daleko przez zieleniące ogrody i łąki na widnokręgu mgłami owite: patrzył i nie widział nic przed sobą.

Myśl jego pławiła się bezwiednie w tych rozłogach.

Z powiewem powietrza wpływał przez okno głos jakiś, zmięty, nie świeży, jakby spleśniały wiekiem.

Głos płynął z góry od sąsiada, a od czasu do czasu przed oczyma Leona spadały kręcąc się po żółtkie i zwiędłe listki geranii i storczyków.

Widocznie ktoś obrywał i wyrzucał za okno tych pomiętych świadków zimy, aby nie zabierały darmo innym wiosennego słońca.

Gdyby tak można zwiędłe uczucia obrywać u serca!...

Monotonna melodia smutna jak dzień jesienny niosła ze sobą wyraźnie słowa piosenki sąsiada, który niekiedy zdawał się porywać niemi i wydobywać usiłował całą rzewność tonu... dawno gdzieś złamanego w piersi. Wówczas widocznie ręka przy obrywaniu zwiędłych listków silniej drżała, bo spadały prędzej jakby z rezygnacją ciśnięte i kręciły się w powietrzu z szelestem...

Sąsiad śpiewał ciągle przy swoim zajęciu — to kończył, to powtarzał na nowo jedno i to samo, a treść piosenki dziwnie przypadła do usposobienia Leona.

Jakoś mi tęskno smutno i nudno,
Na polach deszcz i mgły—
Kochać boleśnie, zapomnieć trudno,
A w sercu sny i sny...

I nic nie widać świata, ni ludzi,
Bo światem: ja i ty—
Ludzie mnie nudzą, świat cały nudzi,
Na polach deszcz i sny...

Leonowi głos ten przypominał osobę, z którą codziennie spotykać się musiał wychodząc z domu;—była to postać żółkła, pochylona, boleśnie jakoś uśmiechnięta, czy życiem, czy wiekiem postarzała.

W kamienicy nazywano go „starym kawalerem.“

Na polach zjeździe słońce z nieba,
A dla nas zawsze mgły—
Kochać nie wolno zapomnieć trzeba
Choć w sercu sny i sny...

I znowu od początku tym samym głosem zaczynała się smutna piosenka, jak odbłask tej niepogody w duszy, z poza której już promień słońca nigdy nie ma strzelić.

Listki przestały spadać i śpiew zgubił się gdzieś w głębi pokoju sąsiada, a Leon stał jeszcze u okna i powtarzał w myślach te słowa, jakby umyślnie mu podszeptujące:

Kochać nie wolno, zapomnieć trzeba!

I przed oczyma przesuwają mu się kolejno wszystkie wypadki ostatnich kilku tygodni, przy śpiewie „starego kawalera“ z drugiego piętra. Jeszcze posępniej zrobiło mu się w duszy.

Los to psotnik nie lada, czasem po Nerońsku igra z sercem ludzi...

— Zapomnieć trzeba!—odezwał się wreszcie głośno do siebie i usiadł znowu do pisania listu.

„Wiem, że z tej partyi nie śmiem wyjść z wygraną, a fałszywej karty podstawić nie mogę, aby zabrać nie winne serce i szczęście niezastużone. A przecież kiedy myślę o tym uroczym zjawisku dziewczęcia, co blade i zapłakane z bukiecikiem fiołków w ręku staje mi przed oczyma, czuję jakiś okropny wyrzut w sumieniu własnem—nie dlatego, abym duszę tej dziewczyny obalamucił ale dlatego, że nie mogę się zdobyć na sprawiedliwość, której wszędzie, tylko nie w prawach serca znajdziesz mój drogi. Dlaczego ja nie mogę nakazać sobie tej wzajemności i kochać choć trochę tak, jak jestem kochany?... O dlaczego?..

Czemu mi ciągle tamta zasłania tą małą, której uczucia może nawet nie zasługuję. Czy wiesz ty, że to biedne dziecko przełamało bojaźń ku surowej matce i ojcu, i przyznało się samo przed nimi do swej miłości. I wymodliło u nich, aby mnie widywać mogło... tylko widywać.

Wstydzę się przyznawać tobie do takiej szczodrości losu,—bo czuję się niewdzięcznym.

Jak myślisz, czy ja byłem tam u nich, pomimo prośb przez osoby trzecie?... Nie mogłem, zdawało mi się, że wiedząc teraz tajemnicę jej serca, powinienem unikać ją. Ale to nie łatwo; przypadek nas prześladowa i sprowadza z sobą, na szczęście otwarcie nie rozmawialiśmy jeszcze;—pilnują nas—choć niepotrzebnie, bo ja sam stróżuję siebie.

— O powiedz, co zrobić—aby nie upaść?

— Mam jedną myśl, ale w postanowieniu jeszcze nie dojrzała,—nie śmiem się zwierzać z niej przed tobą mój przyjacielu, bo ma pozory tchórzostwa, a przecież kosztować mnie będzie całego wysilenia mej duszy. Nie sądz, że jest w tym, coś werteryzmu... to inna sytuacja, zupełnie inna.

Chciałbym w tej chwili być gdzieś za światami daleko, zapomnieć o tym, że żyłem i że serce nosiłem w piersi,—złe serce, zbrodnicze, kiedy dało się opanować tej wzbronionej miłości...

Nie, nie wiem już co mówię!... dokończ sam sobie obraz mej duszy i umysłu i żałuj mnie, o pożałuj nieszczęsnego, który sobie poradzić nie umie.“

Skończył pisać, głowa upadła mu na ręce, a w pierśiach targały się uczucia dziwne, pomieszane, burzliwe...

Najstraszniejszą próbę dopiero przejść miał.

Do pokoju wszedł służący z książką i listem w ręku.

— Przysłano dla pana, odezwał się widząc, że Leon nie uważa jego obecności.

— Co?... dla mnie? spytał gwałtem wyrывая się z zaczarowanego koła własnych myśli.

— Tak;—a drugi list pan odebrał?

— Jaki drugi?

— Ten, który położyłem na stoliku przy łóżku dziś rano,—o tam!

Na stoliku leżał rzeczywiście list w popielatej kopercie, z ogromnym złożonym monogramem na wierzchu.

Leon spłonął cały; jakieś przecucia złe ukuły go w serce.

Porwał list ze stolika, spojrzał i ręka mu zadrżała. W pogmatwanych liniach monogramu wyczytał P...

Służący książkę i drugi list położył na biurku i wyszedł.

— To ona pisze do mnie?—szepnął mimowoli, wpatrując się w monogram.

Na kopercie ręka kobieca spiesźnie perełkowatym piśmem wypisała adres, noszący wszelkie objawy roztargnienia autorki.

Leon stał z listem w ręku i zamiast rozerwać go gorączkowo—czekał jednej z tych myśli, które go wszystkie naraz odbiegły.

Drugi liścik miał na pieczęcie fiołek.

Rzuciwszy okiem na książkę, którą mu wraz z tym listem przyniesiono odgadł natychmiast od kogo pochodził. Przed kilkoma tygodniami pożyczył był Ewuni poezje Gabryelli, dzisiaj mu je odsyłała z przypiskiem; ale musiało tam być coś więcej w tym listku drobnutkim, jakby zawstydzonem pismem pisanym, bo przez kopertę przebijały znaki ostatniej stronnicy.

Leon wahał się ciągle, nie wiedział co począć, który w pierw odczytać; położył oba listy na biurku przed sobą i zamyślił się. Głowa mu pałała, serce waliło młotem, oczy kołowały po pokoju...

Nad łóżkiem wisiał portret jakiejś staruszki dobrotliwie uśmiechniętej i zdawał się patrzeć na niego łagodnie, siwemi oczyma.

— O matko moja, mówił do portretu, gdybyś ty mi jeszcze poradzić mogła... twoje serce najprędzej i najlepiej przemówiłoby do mego. Ty swojemu synowi kazałaś postąpić, jak mu honor każe, bo głosu uczuć słuchać mu nie wolno, — ty pomogłaś mu zerwać tę pierwszą nitkę nieszczęsnego pasma, które los trojgu narzucił bez potrzeby i przyczyny. — Tak, — bo zerwać trzeba, zerwać od razu na zawsze, nie ufając własnej słabości i sile wypadków...

Jakaś myśl błysnęła mu nagle w głowie; rzucił się w fotel pod oknem i głowę zwiesiwszy na obie dłonie myślał tak długo i głęboko; widocznie staczał z sobą ostatnią walkę.

Aż wreszcie przełamał serce i zwyciężył swą słabość; biedny, zdawało mu się, że to co zrobić postanowił było objawem nabytego hartu i tryumfu nad własnem uczuciem, a tymczasem on tylko odsuwał od siebie ostatnie pokuszenie, któremu uleść się obawiał.

Zamknął się w pokoju, aby go nikt nie przydybał na wykonaniu tego planu, zapalił świecę i wzięwszy najpierw liścik Ewuni drżącą nieco ręką przysunął go do płomienia — nieczytany, nierozzerwany nawet.

— Nie chcę dowiedzieć się o niczem, mówił sobie w duchu, może przeczucia moje mylą mnie, ale trzeba raz skończyć tę grę bez wyjścia, i nie hazardować coraz więcej... Spaliwszy oba listy, nie będę wiedział, co rzucam, — nie potrafię odpowiedzieć i...

Koniuszek koperty zatlił się; płomień pożerać począł łakomie papier wyginający się w kurczach zniszczenia.

Serce biednej Ewuni byłoby się również tak samo z bólu kurczyło, gdyby mogła była patrzeć na ową scenę; nie potrzebowałaby więcej dowodów i perswazyi ze strony ojca, nazywającego jej miłość szaloną, bez wzajemności, bez zapewnienia...

— Jeżeli mnie nie kocha, niech mi to sam powie mój tatku, mówiła wczoraj jeszcze ukrywając zapłakaną twarz na piersiach ojca, — a choćby mi to powiedział, ja mu nie uwierzę, bo to niepodobnem, aby Pan Bóg chciał być...

Miała dokończyć „niesprawiedliwym“, ale nie śmiała i we łzach utopiła resztę wyrzutu.

Papier cicho tymczasem spopielał w palcach Leona, który prawie szaleem jakimś opanowany przyciął usta i podjął drugi list ze stolika.

Ręka mu drżała teraz więcej, zdawało mu się że płomień świecy usuwa się od listu i zachować go pragnie.

Potem już nic nie widział zatopiony w jakimś niewymownie przykrém uczuciu, z którego go dopiero płomienie obejmujące list ocknęły.

Dopalał się papier wypadł mu z ręki i na podłodze skwierczał, jakby się żalił takiego losu.

W dwie godziny potem, Leon blade dopisywał do skończonego listu następujące wyrazy:

— P. S. Drogi mój! — zrobiłem coś, czego wytłómaczyć sobie teraz nie umiem; — znalazłem środek przy tem jedyny, jaki mi pozostawał do wycofania się z tej nierozegranej partyi; ale ofiarować muszę za niego całą moją miłość własną i jeszcze nie wolno mi nawet za to mieć pewność, czy postępek mój dobrze wytłómaczonem zostanie.

Wkrótce dowiem się o szczegółach, — tymczasem na każdy wypadek nie uśmiechaj się swoim zwyczajem ironicznie nad słabością twojego przyjaciela.

Czy też ty zgadniesz, co ja postanowiłem?...

Trzeciego dnia w południe po wysłaniu powyższego listu — w domu państwa Gustawów i u rodziców Ewuni, złożył Leon kartę z pożegnaniem, umyślnie czy przypadkowo wyszukawszy porę, w której nikogo nie zastał.

Pociąg idący za granicę wywiózł go o godzinie trzeciej na zawsze, a przynajmniej na bardzo długo.

Tego samego dnia Paulina z powodu ataku sercowego nie była dla nikogo widzialną, nawet dla męża, lekarz znalazł ją bardzo cierpiącą; — rodzice Ewuni urządzali wieczór wystawny, ale pomiędzy domowymi nie witano blądź dziewczyny o płowych włosach, z bukietem fiołków przy piersi...

Nie wiemy co powiedział przyjaciel Leona o jego tak nagłym wyjeździe, — co mówili inni, powtarzać nie chcemy, bo echem świata być — nie każdemu rzecz przyjemna i przystojna, — my powtórzymy tylko słowa jednego z dobrych graczy, na zakończenie tego, co końca mieć nie mogło z samego już założenia:

— Wszystkie nierozegrane partye są gorsze od zupełnej przegranej, bo zostawiają niesmak i wzajemne pretensye grających. Często lepiej się zdebankować, niżeli wstawać od stolika nierozegranym...

Kto wie, czy w życiu nie potwierdziłyby się te słowa?...

Konstanty Borejko.

DWA SUKCESA.

On sonne.

— Ktoś ty?

— Telegram.

Al! z Wiednia od dyrektora Hirscha.

„Der Geist des Wojewoden“ — sukces nadzwyczajny — wszystkie numera z gorącym zapalem oklaskiwane — mazurek powtarzany przez panią Charles Hirsch. Grossman przeszło dziesięć razy wywoływany — professor Hanslick udał się na scenę dla powinszowania autorowi.

I cóż ty na to mój czytelniku i czytelniczko muzyczna, czy cię równo jak i mnie cieszy ten sukces polskiego kompozytora na germańskim gruncie, na ziemi która wydała genialnych muzyków, dobrych śpiewaków, świetnych kapelmistrzów, surowych krytyków i wykształconą publiczność?

Przyznaj się otwarcie; co do mnie z góry wszystkim powiadam, iż powodzenia tego nie ważę sobie lekce, owszem pragnąłbym je zaznaczyć jak najsilniej.

Już w pierwszym do Was postaniu w przystępie złego humoru, zauważałem iż pieśniarzy naszych ścinamy chłodem nie rogrzewając całych piersi. Już wtedy ośmieliłem się postawić za wzór publiczność i krytykę niemiecką, która pielęgnuje domorośle talenta i okrywa je kloszem pobłażania i naturalnej — do wszystkiego co własne — sympatyj. Nie dopowiedziałem jednak iż bywa często dziecko nowej muzy lepiej u obcych, aniżeli u nas przyjmowane. Czynię to więc niniejszem z skwapliwością, boć „Ducha wojewody“ sukces najlepiej o tém świadczy.

Entre nous — pozwoliliśmy sobie operę komiczną pana Grossmana przy okazji przedstawienia w Warszawie, zaliczyć do rzędu dzieł dnia powszedniego, podczas gdy jej przyjęcie na scenie wiedeńskiej nadało cechę rzeczy odświętnej. Rzesza cała młodych ludzi z piórem w ręku a z... bawełną w uchu, pracowała nad kalemburami, zniechęcającami kompozytora i wartość dzieła do minimum sprowadzającami. Zabawiano nas dowcipkami świeżo na kopycie „Ducha“ sklejonymi, przypominając o tém iż oper nie pisze się na poczekaniu, że je należy jako egzotyczne uważać kwiaty i że szyderstwo, złośliwość... ludzka, zabija talent... artysty...

Ci co byli mniej złośliwi, ograniczali się natomiast na starannem wyszukiwaniu w „Duchu“ obcych motywów, instrumentacyjnych błędów i t. p. niewinnych rzeczy.

Jeden tylko—o ile pomnę—p. Władysław Bogusławski, wydał sąd wolen od wszelkich nieuzasadnionych insynuacji.

Cóż Grossman? Kapelusznik nacisnął na czoło, uśmiechnął się z goryczą, i postanowił czekać lepszych czasów—odrzucając równocześnie wszystko co by mu papier pięcioma linjami porysowany przypominało...

Aliści agent jakiś wyciągnął „Ducha“ na scenę opery komicznej, dyrektor przewertował partyturę, zgromadził celniejszych artystów, nie skąpił grosza i... zyskał „Casenstück“ pierwszej wody, a nadto od całej krytyki wiedeńskiej komplement za przedstawienie rzeczy dobrej, zdrowej, smacznej, rzeczy co sztuką jest!

I oto dziś przedrukowują na gwałt telegramy o powodzeniu Polaka z zagranicy przysłane, unoszą się nad partycją, gotowi są nawet monitorować publiczność o obojętność dla dźwięku sarmackiej lutni...

Ludzie dobrzy! jak się zmieniacie? Gdzież wasze pociski, gdzież trucizna słów waszych, uśmiech wasz ironiczny?

Ludzie dobrzy—przyznajcie iż rzadko bywacie... ludźmi dobrými.

Cóż was tak zmieniło? Oklask niemca?!

Czyście wy sprawiedliwi zawsze—czy tak kochacie własną błąd, strumyk własny, pieśń własną?

A ty wszechwładna, przepotężna, rozparta na tronie nieomyślności krytyko?...

Lecz... lecz, dajmy dziś za wygraną wszelkim refleksjom, gotowi byśmy bowiem dla przykładu potracić choćby o... Chełmońskiego, o potępienie go wczoraj gdy był w Warszawie i przyznawaną mu dziś palmę, gdy rozbił namiot na paryskim bruku...

Rozstańmy się więc z Grossmanem (nb. sprawozdanie istotne o wiedeńskiej reprezentacji znajdzie czytelnik w swoim czasie), a pospieszmy złożyć hołd pannie Maryi Deryng, co nam prawdziwie Szekspirowską dała Julji postać.

Codziennych pism krytycy zużyli już kilka ryz papieru *ex re* przedstawienia „Romea“ nie naszą więc dziś rzeczą ich słów powtarzanie. Powiemy krótko.

Julja, pełną ognia, temperamentu, żaru włoskiego, Julja z krwi i kości, Julja co kochać, szaleć, rozpaczać i umrzeć potrafiła, Julja Szekspira, ideałem poety, Julja taką była panna Deryng na scenie warszawskiej.

Julja taka każe się uwielbiać, cenić i szanować. Ognia bożego co tli w piersi ludzkiej, strzeżcie; podniecajcie iskrę—gdy gaśnie biada wam! .

SPROSTOWANIE.

Na początku komedii „Fałszywych blasków,” w Nr. 3, przez nieuwagę zecera opuszczono szpalt dwie, które poniżej zamieszczamy bez dalszego ciągu.

FAŁSZYWE BLASKI.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE,
ZOFII MELLEROWEJ.

(Patrz Scenę IV).

FILIP. Zgodzi! Ja tak łaknę zabawy, hulańek, kobiet, a nadewszystko miłości!

LUBIN. Daj go katu! miłości! A toż przecie na wsi o afekt najłatwiej, sama natura skłania do sentymentów, a panny prowincjonalne słyną z romantyzmu.

FILIP. Na nieszczęście w sąsiedztwie nie znajduje się nic odpowiedniego. Musisz ty mnie tu poznać.

LUBIN. Ja? ależ ja prawie nigdzie nie bywam.

FILIP. A toż co za zmiana?

LUBIN. Ożeniłem się.

FILIP. Ty? a to kiedy?

LUBIN. Od pół roku.

FILIP. I nic nie doniosłeś?

LUBIN. Rzecz stała się w tajemnicy — okoliczności były wyjątkowe.

FILIP. Ah, mów, mów, przepadam za wyjątkowymi okolicznościami!

LUBIN. Pokochałem mężatkę.

FILIP (z oburzeniem). Oh!

LUBIN. I rozłączyłem z mężem.

FILIP. Zburzyłeś spokój rodziny! to niegodnie!

LUBIN. W pojęciu motłochu zapewne. Lecz-my, czoło inteligencji, jednostki wyższe, posiadamy odrębną moralność. Sumienie powszechne nie jest naszym sumieniem. Wedle nas, miłość usprawiedliwia wszystko. Naszym kodeksem: uczucie.

FILIP. A uczciwość? honor? zaufanie męża?

LUBIN. Tam gdzie odezwie się namiętność, milkną wszystkie te względziki, niby beczenie cieląt i osłów w obec ryku lwa.

FILIP. A opinia?

LUBIN. Opinia? ha, ha, ha! paradny! kopalne chłopa! troska się o języki! Gdzieś ty się chował, Filipku, gdzie? A wiesz ty co to jest opinia?

FILIP. No, opinia jest to... jest to... opinia!

LUBIN. Ja ci powiem. Opinia jest to o pewnym przedmiocie sąd jednego głupca, pomnożony przez tysiąc sądów, tysiąc innych głupców; tem się gardzi. Któż zaś ze stanowiska bezwzględnej potępić zdoła kobietę, która za najwyższy zakon uznała miłość? Wiarołomna żona może być najszczytniejszą kochanką.

FILIP (ze zdumieniem). Doprawdy? a to wygodnie! to wygodnie! Lecz po coś ty się z nią ożenił, bo podobno to inaczej kończą się zwykle te rzeczy?

LUBIN. Ona żądała, gdyż mnie tam wszystko jedno; ja zawsze ożenek uważałem jako ustępstwo dla plebsu. Harmonia dusz, to według mnie ślub prawdziwy.

FILIP. Tyś bo zawsze był niezwykłym człowiekiem. To też babcia, lubująca się niezmiernie w twoich poezjach, kazała słuchać cię we wszystkim.

LUBIN. A ileśmy przecierpeli, jakie przebywali sceny! Bo trzeba ci wiedzieć, że mąż szalenie ją kochał.

FILIP. A mój Boże!

LUBIN. I szalenie był zazdrosny. Szpiegował nas, tropił.

FILIP. Więc nie od razu mu wyznałeś, że się kochasz w jego żonie?

LUBIN. A to na co? Dopiero przydybany i to nawet nie ja, lecz ona.

FILIP. Ona!

LUBIN. O, bo co to za kobieta!

FILIP. Zgaduję... gorąca, namiętna, wulkaniczna!

LUBIN. Nie, ale serdecznie czuła i głęboko wrażliwa. Przytęm trochę artystka, maluje...

FILIP. Zatem sentymentalna, egzaltowana.

LUBIN (z westchnieniem). Aha, marzycielka, egzaltowana do zbytku.

FILIP. Śliczne zalety.

LUBIN. W kochance—ale nie w żonie. Ona także pochodzi z partykularza.

FILIP. Ah, a propos partykularza, zapomniałem ci powiedzieć, że przybyła tu z naszych stron deputacja w interesie szkół rzemieślniczych, wybiera się z prośbą i do ciebie (Wchodzi Janowa z prawej).

JANOWA. Proszę pana, chłopaki klną na czem świat stoi, wołają że głodni i nie chcą czekać dłużej.

LUBIN. To niech idą do wszystkich diabłów! Powiedzieć, że artykuły sam poodnoszę za kwadrans. Tymczasem podajcie tu cobądź, bo i mnie się jeść chce straszliwie. Ale, a gdzie pani?

JANOWA. Wyszła, cały ranek była bardzo smutna, wciąż pracowała (odchodzi).

FILIP. Smutna?

LUBIN. Czasem przytrafia mi się dłużej zabawić na mieście, zagadam się, to ją gniewa. Kobiety są tak nie-wyrozumiałe i wymagające.

FILIP. Może ona nie nawykła do samotności.

LUBIN. Co prawda, mój poprzednik mąż Numer pierwszy, rozpieścił ją mocno pod tym względem. Był to facet ściśle pilnujący się obowiązków, sumienny, słowny, zgoła posiadający wszystkie cnoty „bürgerskie.“ Wróciwszy z biura, poświęcał się cały na usługi swój lepszej połowy. Wodził ją po spacerach, czytywał głośno, bawił się z córką, dozwalał robić z siebie kozła i barana.

FILIP. Dlaczegoż opuściła męża tak ze wszech miar dogodnego?

LUBIN. Zbadaj serce niewieście! Ośm lat stałej pogody małżeńskiej uprzykrzyły się; zapragnęła burz, walk, niebezpieczeństw, nowości. Śmiałość moich poglądów, żywiość usposobienia, oczarowały ją od razu, co spostrzegłszy, pojmujesz, że nie skąpiłem dyalektyki i zabiegów. Poetyze moje dokonały reszty. Dość, że po kilku miesiącach znajomości, całkowicie za władnąłem jej sercem i kompletnie...

FILIP (kończąc). I kompletnie przewróciłeś w głowie.

LUBIN. Cóż chcesz, podobala mi się.

FILIP. A on?

LUBIN. Filister? Długo czas nie domyślał się niczego, jak przystało na wzorowego męża. Skoro przejrzał, już było zapóźno, kochaliśmy się ognicie i żadna moc ludzka nie zdołałaby nas rozerwać. Zabronił mi bywać,

kobieta zrozpaczona, ztęskniona, wyznała że bezemnie istnieć nie może, zażądała rozwodu, opuściła dom. Mąż szalał z rozpaczy.

FILIP. Jak babcię kocham, jakie to dramatyczne! Cóż dalej?

LUBIN. Przez kilka miesięcy u nóg jej dziękowałem za ofiarę; pełnemi usty czerpaliśmy nektar boski.

FILIP. Ah, jakże ci zazdrościsz! Ja tak pragnę się zakochać... a na wsi jest tylko garderobiana babci Jagusia, ładna dziewczyna, ale tak zadurzona w gorzelanym, że ani do niej przystąpić. W dodatku jestem do kobiet okropnie nieśmiały.

LUBIN. Strzeż się, nic gorszego! Widocznie brak wprawy!

FILIP. Wszyscy drwią z mojej nieśmiałości, to mię już zniercierpliwilo, ah! Powiedz co kobieta lubi? co jej najbardziej podoba się?

LUBIN (ze śmiechem). Ha, ha! jakżeś ty naiwny! To zależy...

FILIP. Ależ przecie...

LUBIN. Przedewszystkiem to czego nie posiada.

FILIP. To jest?

LUBIN. Na czym jej zbywa.

FILIP. Czyli? (głębiej wchodzi Leonora, w pasterskim kapeluszu z bukietem w ręku).

(Patrz Scenę IV-tą po wyrazach: „Jeżeliś przywiózł dużo pieniędzy, pomogę ci... puścić je wesoło“).

ob. str. 21

SPORT.

Hodowla koni. Stado w Ursynowie pod Warszawą obok Wilanowa własność hr. Ludwika Krasińskiego.

Produkuje Roadstery, Suffolki, Perszerony, Ruskie kłusowniki i konie miedziane.

I a) Ogier stadne Roadstery:

All Fourse kupiony w Anglii.

Querette kupiony we Francji.

Hull własnego stada.

b) Klacze stadne roadstery:

Winifred, Princesse, Potli; kupione w Anglii.

Tamisa własnego stada.

Ogierok roczniak All-Fourse II, Klaczka roczniak Princeska, własnego stada.

II a) Ogier stadniny Suffolki:

Duck.

b) Klacze stadne Suffolki:

Olbrzymia, Krasna; ze stada rządowego Derkułskiego.

c) Klacze arabskie własnego stada.

Czajka, Dzielna, Habra, Łagodna.

d) Klacze perszeronskie z Francji sprowadzone:

Jani, Ketti, Mara, Nelli, Flora, Bettsy.

Miss Chatam, Ogierok 2 latek Gabrys, własnego stada.

4 roczniaki z 1876 r. 2 ogierki i 2 klaczki własnego stada.

KLACZE STADNE KLUSISTE.

Primietta, Striapucha; ze stada hr. Panim.

Liubiezna, Poprigunia; ze stada hr. Panin.

Lietunia, Worouezha, Rusalka; ze stada Werstinnikowa.

Barchatna ze stada Aksinowa.

Bolszaja, Praktyka, Mindalka; ze stada jenerała Wojekowa.

Sposób postępowania ten sam co i w stadninie w Krasnem (patrz Nr. 4 Gońca).

— W stadzie Hugo-Telep pod Pressburgiem do hr. Henkla von Donnersmark starszego należącym, stanowiąc będą w r. 1877 następujące ogierki:

Allbrook ciemno-gniady ur. w r. 1866 po Wild Dayrell i Elizabeth po Daniel O'Rourkeu.

Digby Grand kary ogier, ur. w r. 1868 po Sauntererze i Miss Digby po Touchstone. Stanowienie kosztuje 200 florenów za klacz pełnej krwi, a 100 florenów za klacz pół krwi.

— „Echo“ w artykule swym o hodowli koni z d. 25 Stycznia r. b. monituje nas za opuszczenie w 2-m numerze „Gońca“ w spisie stadnin, stadniny Kluczewskiej. Przyznajemy słusność sprawozdawcy „Echa“ pominięliśmy bowiem to stado; nie wynikało to wszakże ze złej woli naszej, ale z braku podręcznika, mogącego nawet najlepszemu specjalistę w sporcie poinformować o egzystencji licznych stad w kraju.

Ze spis stadnin przez nas podany jest niedokładnym o tém wiemy

doskonale, podaliśmy bowiem stadniny z własnych notat naszych przez amatorstwo zbieranych: przed rozpoczęciem zaś wydawnictwa „Gońca“ rozpisaliśmy listy do wielu właścicieli stadnin własnością ich będących. Oprócz kilku prawdziwych sportmanów, którzy natychmiast żądanych wiadomości nam udzielili, kilkadziesiąt listów naszych pozostało bez odpowiedzi; kilku nawet właścicieli znakomitszych stad w kraju naszym, znajduje się w liczbie... niepiszących, albo raczej nieodpisujących!

Jak więc sobie tu począć przy obojętności ludzi których rzecz ta najbliższej interesować winna. Choć pragnęlibyśmy gorąco poznać ogół z rzeczą sportu dotyczącą, trudności wszakże napotykać od początku, pozwalają nam tylko pobieżnie rzecz tę traktować. Chętnie przyjmując podaną nam wiadomość przez „Echo“—zamieszczamy ją tu pod właściwą rubryką i radzi będziemy wszelkie wiadomości z dziedziny sportu tą lub inną drogą otrzymywać.

Stadnina Kluczewska w gub. Kieleckiej, pow. Włoszczowskim, założona w roku 1836 produkuje konie arabskie i miedziane. Początek stadu dały ogierki i klacze Janowskie oraz araby ze stadnin książąt Sanguszków. Obecnie stado to liczy 12 matek, 6 ogierów i do 30 sztuk przychowów czystej krwi arabskiej. Do klaczy roboczych używanym bywa wiatski ogier produkujący silne i praktyczne do pracy okazy.

Polowania. W dniu 31-go z. m. hr. August Potocki wyprawiał w lasach do Jabłonny należących ostatnie tej zimy na grubego zwierzę polowanie. Otrąpione dziki były głównym celem tej uciechy myśliwskiej, a i strzelanie zajęcy nie było wcale wzbudzeniem. Myśliwi w liczbie 23 w ciągu dnia dali pokazną cyfrę strzałów, bo aż 228. Ubito 3 dziki, to jest dużą maciorę i dwa wycinki.

Pierwszą celnym strzałem w głowę powalił hr. Franciszek Lubieński, a kula przeszływszy część przezeń strzelaną wyszła drugą stroną okiem. Tęgiego wycinka powalił hr. Ordynat Zamojski i drugiego takiegoż ks. Sasko-Altenburski. Prócz tego padł rogacz i 60 zajęcy. Polowanie to w porównaniu z zeszłorocznym, okazało dwa razy większą w tym roku obfitość zajęcy; bo gdy w przeszłym roku w tych samych miotach padło nie całe 30 sztuk, w roku obecnym ubito ich aż sześćdziesiąt. Słuszne z tego powodu uznanie należy się służbie leśnej, głównie zaś jej zwierzchnikowi panu Herget nadleśnemu temi lasami zarządzającemu, który bezprzykładną pilnością i szczerą pracą potrafił ustrzedz zwierzynę od wszędzie tępiących ją nieprzyjaciół, a zwierzostan do tak świetnego stanu jaki się teraz okazał doprowadzić.

Hr. August Potocki podejmując zaproszonych ze znaną wszystkim a właściwą sobie uprzejmością, polowanie to uczynił jednym z najprzyjemniejszych w tym sezonie.

— Pan R., dnia 19 b. m. wyprawiał polowanie na zadzierzawionem przez siebie na ten cel terytorium majątność Grodzisk stanowiąc. Myśliwych było kilkunastu, którzy też kilkanaście zajęcy ubili; dziwną jest wszakże ta okoliczność, że pomimo kilko-letniego oszczędzania

zwierzyny i zupełnego wstrzymania się od polowania, zwierzostan okazał się tak miernym.

Suto podjęte przez pana R. towarzystwo tegoż dnia powróciło do Warszawy.

Następnego dnia w sobotę polowano w Słubicy, gdzie zaproszeni przez pana K. myśliwi, zabawiali się strzelaniem do rogaczy i zajęcy.

Książę i księżna Walii, hrabia Connaught oraz wiele zaproszonych gości polowało w przeszłym tygodniu w Kimbolton. Mnóstwo ekwipaży, amazońskich i myśliwych konno podążało za psami. Księżna Walii z dwoma damami i księciem Manchester jechali powozem. Lisów wiele, dzień prześliczny, orszak okazały, polowanie bardzo udane. Nie odbyło się jednak bez wypadku; w chwili bowiem sforsowania lisa wszystkie ekwipaże z różnych stron całym pędem przybywając, tak szybko zbiły się w kupę, że w jednym z nich siedząca panna Delacombe gdy o jej powóz zawadzono dogkartem, wyrzuconą została na zmarzniętą a twardą ziemię i nogę złamała.

Nieszczęśliwej natychmiast pomoc udzielono, a następnie do miasteczka Redford odwieziono.

Do najświetniejszych w tym roku zaliczyć możemy wyprawione w dniach 22 i 23 b. m. polowanie w dobrach Krosniewice własnością pana Rembielińskiego będących, na którym ubito: zajęcy 302, kuropatw 11, lisów 3, rogaczy 2. Myśliwych było osiemnastu.

Znakomity rezultat polowania tego przekonywa nas o wzorowo urządzonym gospodarstwie leśno-zwierzęcym.

Gdyby ziemianie nasi chcieli niejednokrotnie zwrócić uwagę na dość częste świetnych polowań rezultaty i wnikać co jest tego powodem i przyczyną, że znaczna ilość zwierzyny, jest prostym wynikiem racjonalnego w tym kierunku gospodarstwa—z pewnością wstrzymaliby się sami od bezmiernego tępienia zwierzyny i zwróciliby nieco uwagi na pomagających im w tej robocie gajowych i innych wyławiaczy samolówkami, wnykami, siłkami i t. p. oraz na ptaki drapieżne i krwiożercze zwierzęta. Tym sposobem tylko przyczynić się mogą do polepszenia nędznego pod względem ilości zwierzostanu, zapewniając sobie w krótkim czasie oprócz przyjemności; prawdziwą korzyść. Sarny dziś tak nieogłędnie strzelane, zapelniają składy pokątnych przekupniów którzy je ukradkiem sprzedają; o wieleż korzystniejszym byłoby, gdyby taki naprzykład jednoroczny kontyngens nieprawnie zastrzelonych sarn pozostawszy w lesie dał progeniturę. Ilość sarn zaraz w dwójnasób zwiększona i następnie odpowiednio mnożąc się, dałaby możność nawet niszczycielom zwierzyny wstrzymywania się od strzelania samic, skoro pod dostatkiem mieliby rogaczy w każdej porze roku mogących być strzelanymi.

Tępienie drapieżnych ptaków oraz krwiożerczych zwierząt jako-to lisów i wilków, niemniej niszczenie zakładanych przez włóścian sideł i samolówek, oraz strzelanie psów po polach włóczących się, dzielnie przyczynia się do zachowania i mnożenia się zwierzyny, co też gorąco wszystkim posiadaczom ziemskim zalecamy.

Wyścigi. W skutek smutnych rezultatów dla koni angielskich pobitych przez konie zagraniczne w wyścigach tysiąca funtów szterlingów, Oaks, Middle Park Plate i Dewhurst Plate z r. 1876, oraz w skutek zwycięstw odniesionych na torach angielskich przez francuskie konie Montargis'a, Bojard'a i Pent-Etre, znakomity sportsman lord Falmouth chce na przyszłym posiedzeniu Dżokiej klubu angielskiego wnieść mocę, ażeby wszystkie konie zrodzone we Francji lub za granicą, wykluczone były od wyścigów, w których waga lub wiek jest podstawą biegu, oraz z wyścigów produce.

Konie więc tylko pochodzące z krajów dających angielskim koniom równe ze swemi przywileje, będą mogły i w Anglii korzystać z praw koniom miejscowym służących.

Od lat dwóch admirał Rous robił starania w Dżokiej klubie francuskim o zrównanie przywilei przysługujących koniom francuskim z angielskimi; a ponieważ nic dotąd nie wskórał, a rzeczą jest dowiedzoną, że dwulatki francuskie mają dziś przewagę nad angielskimi, Anglię zaś nie chcieliby ażeby w r. 1877 główne nagrody w Anglii, zdobytymi zostały przez konie francuskie, przeto pp. John Astley i admirał Rous propozycję swą silnie popierać będą w Dżokiej klubie francuskim, która zdaje się przyjąć ostatecznie zostanie.

Pan Ed. Fould sprzedał z wolnej ręki całą swą stajnię wyścigową w Chantilly, panu hr. de Berteux.

Strzelanie gołębi. Klub strzelecki Notting-Hill rozpoczął zimowy sezon konkursem o trafianie gołębi. Nagrodą puchar srebrny wartości 15 f. sz. Osoby 2-a razy chybiające tracą prawo do wygranej. Strzelających było 18; każdy z nich powinien był trafić 7 gołębi; z tej liczby dwóch tylko konkurentów wystrzelało oznaczoną ilość gołębi. P. Seaton otrzymał puchar i 18 funt szter. ze stawek, przestrelawszy swego współzawodnika o jeden więcej celny strzał. Inną nagrodę 15 funt. szter. wygrał kapitan Aubrey Patton; strzelano po 3 gołębie; konkurentów było 13. Strzelanie odbywa się co tydzień.

W Nicei dnia 22 grudnia r. z. rozpoczął się bardzo świetnie sezon strzelania do gołębi, w którym to dniu odznaczył się baron Saint-Clair strzelając w stosunku $\frac{6}{10}$ do gołębi.

W lasu bulońskim celnymi strzałami do gołębi odznaczyli się: p. Konstanty Rembieliński i książę Sapieha; każdy z tych panów po kilka puł wygrał, strzelając do gołębi na odległości 28 metrów.

Wiadomości miejscowe. Kurjer Codzienny donosi co następuje: Z wiosną „Yacht-Klub“ ma jak słyszeliśmy urządzić nad brzegiem Wisły nieopodal mostu swą przystań, z której odbywać się będą przejażdżki po rzece. Zamysła także klub pomieniony o nabyciu na swój użytek niewielkiego statku parowego.

Podobno tego roku w jednym z ogrodów naszego miasta w okolicy Nowego Świata położonych, urządzoną ma być strzelnica, na wzór tej jaka istniała w ogrodzie Saskim.

Po największej części dotąd sportsmani nasi sprowadzali siodła, i nie rzadko nawet zaprzęgi i powozy z zagranicy. Obecnie gdy cło płacone złotem o wiele droższem czyni nabywanie przedmiotów zagranicznych, nie od rzeczy będzie wspomnieć o jednej z najznakomitszych warszawskich fabryk siodła, zaprzęgów wszelkiego rodzaju oraz utensyliów do ujeżdżania koni służących.

Cheśmy tu mówić o fabryce siodła pana Romanowskiego przy ulicy Królewskiej pod Nr. 17 znajdującą się, która wyroby swe ze skór angielskich i francuskich przygotowując, nijnież wodnieć pod względem wykończenia z najpierwszemi angielskimi, francuskimi i wiedeńskimi fabrykantami nie tylko na równi stawia, ale też i niejednokrotnie zagraniczne przewyższa. Fabryka ta mieści się przy fabryce powozów które z elegancji i trwałości wszystkim są już znane.

Miscelanea. Podajemy tu ciekawy epizod który miał miejsce w Anglii. Klaczka trzyletnia Sphinx, trzecia z rzędu wygrywających na wyścigach w Birminham, sprzedana została za 29 funtów szterlingów. Nowonabywca zmienił pierwotne jej nazwisko Sphinx na Glance i pod tém ostatniem zameldował ją na wyścigach w Wolferhampton jako dwulatkę. Klaczka ta wygrała wyścig w którym biegła; ale cóż z tego, kiedy właściciel konia który drugim przybył, zaprotestował przeciw podstępnej wygranej.

Sędzwo wyprowadzone przekonało: że klaczka wzmiankowana uległa pewnej metamorfozie, mianowicie że ścięto jej ogon bardzo krótko, a następnie przez ostre wcieranie jakie na nią dopełniono wszystkie białe odznaczenia na nogach i korpusie na kolor ciemny zafarbowany.

Winnego oszustwa przekonano o podstępie i oskarżono. Wyrok w tej sprawie dotąd niewiadomo.

Najstawniejszą partję billardową wygrał w r. 1835 niejaki Robert Anglik należący do klubu Manczesterskiego z pewnym amerykańcem. Stawka była 25,000 franków, a bilet wejścia dla spektatorów 100 franków kosztował; pomimo to galerya przepełniona była.

Pewna ekscentryczna córka Albionu wpadła na oryginalny pomysł urządzenia sobie paltotu zimowego z samych piór kuropatwich. Zażądała więc aby dostawiono jej 10,000 takich piór i poleciła ażeby pióra z ogonków stanowiły dół paltotu, pióra od piersi kuropatwich aby okrywały jej własne, te zaś które z szyjek pochodzą aby zasłaniały od wiatrów łabędzi jej podbródek!

Pewien dżentelman spacerując z psem w jednym z londyńskich parków zgubił go; a że to nie pierwszy raz mu się zdarzało, a przytém pies był silny i sprytny, właściciel więc nie był zbyt zaniepokojony zgubą, wiedząc zawsze że pies do domu powróci.

Tymczasem po kilku dniach nieobecności zwierzęcia w domu, nasz dżentelman zaczął się niepokoić i udał się celem odszukania go do handlujących psami. Nachodziwszy się niemało, znajduje nareszcie psa swego w klatce u jakiegoś handlarza.

Co to za cena pyta się handlarza za tego psa? Pięć funtów była odpowiedź. — Dobrze, zgadzam się, ale jutro dopiero psa wezmę i za niego zapłacę.

Przepraszam pana—rzecze handlarz, bez zadatku czekać do jutra nie będę.

A wieleż chcesz?

Dwa funty panie.

Dwa funty tylko, więc kiedy tak, to oświadczam ci, że niedostaniesz nawet szeląga, a psa dziś jeszcze zabiorę.

W tej właśnie chwili przechodził policyant; dżentelman zawołał go. Pies ten jest moją własnością—rzecze—i jeżeli chcesz się pan przekonać, rozkaż go z klatki wypuścić.

Handlarz usłyszawszy to, zaklinać się zaczął że psa przed półrokiem kupił i że 4 funty za niego zapłacił.

Otwórz klatkę, była odpowiedź policyanta... Gdy psa wypuszczono, pies w pieszczotach sunął się ku swemu panu i liźać go począł.

Więc utrzymujesz—zapytał dżentelman handlarza, iż przed półrokiem kupiłeś go za 4 funty, co?

Tak jest—odpowiedział handlarz. „Fox piile“ zawołał gentleman pokazując psu handlarza; pies posłuszny swemu panu, jednym susem rzucił się na handlarza i schwytał go za gardło.

Powiedz że prawdę—rzecze policyant, odkąd pies ten znajduje się w posiadaniu twojem?

Od ośmiu dni była odpowiedź, zapłaciłem za niego 15 szylingów, ale przez miłość boską uwolnij mnie pan od tego psa, bo mnie zadusi.

Wówczas dżentelman odwołał psa, dał z łaski piętnaście szylingów, które handlarz wyłożył za ukradzionego psa, i uszczęśliwiony z odnalezioną zgubą do domu powrócił.

High Life. Dnia 23 stycznia r. b. w Krasieczynie (w Galicji) głównej rezydencji książąt Sapiehów, odbył się ślub p. Stanisława Żółtowskiego syna Franciszki i Zofii z hr. Zamojskich, z księżniczką Maryą Sapieżanką córką Adama i Jadwigi z książąt Sanguszków. Uroczystość tę obchodzono w zamku Krasieczyńskim w szczupłym gronie najbliższej rodziny. Ks. Adam Sapieha jest jeszcze cierpiącym, ale jak doktorzy zapewniają żadne niebezpieczeństwo już mu nie grozi.

Konsul belgijski w Warszawie p. Mieczysław Epsztejn, ozdobił nym został przez króla Belgów orderem Leopolda.

Eugeniusz Chapus przed laty 24 założyciel i redaktor dziennika paryskiego „Le Sport“ przeniósł się do wieczności mając lat 78. Redakcję sportu wziął na siebie p. de Saint-Albin-Lagayère, od lat 24 współpracownik i właściciel tegoż dziennika.

J. N.

Polowanie na dziki w Jabłonnie.



WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		w Cesarstwie i na prowincyi:		Cena numeru pojedynczego kop. 20.
Rocznie	Rs. 10 kop. —	Rocznie	Rs. 12	
Półrocznie	„ 5 „ —	Półrocznie	„ 6	
Kwartalnie	„ 2 „ 50	Kwartalnie	„ 3	

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski** — Дозволено Цензурою, Варшава 20 Января 1877 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa Nowolipki Nr. 2406 (3).

Redakcyja i główna ekspedycja w kantorze drukarni J. Ungra, w Warszawie Nowolipki Nr. 3.